Panorama **Hajnowska**

Гайнаўская *Панарама*

Pismo społeczno – kulturalne Ziemi Hajnowskiej

Nr 3-4 *Hajnówka, czerwiec-lipiec 2002* ISSN 1509-9083



Michał Androsiuk

Przyjaźń bez urzędowej pieczątki

W Dubiczach Cerkiewnych należy skręcić w lewo. Dalej będą Czechy Orlańskie, kolej, wytyczona jeszcze carskimi urzędnikami, za torami kawałek lasu i już osiemnastowieczną cerkiewką wyłania się Werstok. Potem cmentarz, jeden na kilkanaście wsi, zapełniający się szczelniej z roku w rok, znów las – *kazionny* - w miejscowym nazewnictwie, i kolejna wieś z trzydziestu domów, Wojnówka. Od niedawna asfalt przykrywa tu brukowaną ulicę. „Powiadają, szkołę w Starzynie kupił Cimoszewicz i dlatego asfalt się pojawił" – usłyszycie w Wojnówce.

Więc jeszcze półtora kilometra asfaltem i jesteście w Starzynie. Odległości odczytacie zresztą z kolejnych drogowskazów. I – możecie wierzyć – są zgodne z ogólnie przyjętymi wzorcami miar. Kilometr – znaczy kilometr. Nie to, co kiedyś, gdy wskazań samochodowych liczników nijak nie dało się dopasować do odległości wpisanych w drogowe tablice. Jak to w strefie przygranicznej dwóch, na śmierć i życie zaprzyjaźnionych państw i narodów.

Dzisiaj strefa nadgraniczna pozostaje w tym samym miejscu, straciły na aktualności rozliczne umowy o współpracy i przyjaźni, zmalał też strach przed wszechobecnym szpiegostwem, a drogowskazy rzetelniej przymierzają się do powierzonych sobie funkcji.

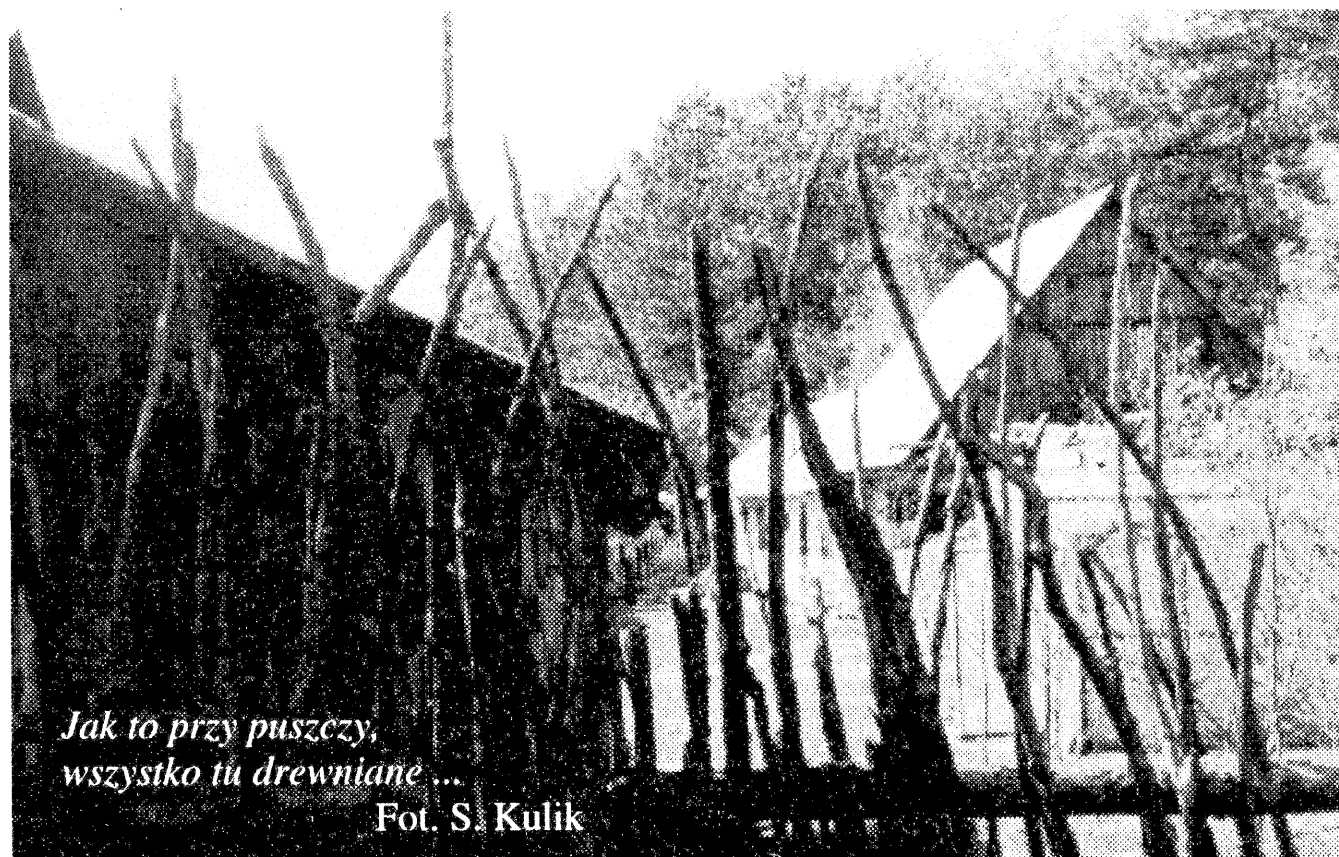
Kiedyś była i wieś, ale za granicę wyjechała

Więc – jesteście w Starzynie. Szukać dalej - choćby żwirowanej drogi – raczej nie warto. Bo niby – po co? Dalej jest tylko granica. Polsko – białoruska, przez niektórych uważana za znacznie poważniejszą, międzykontynentalną, czyli – europejsko-azjatycką. Ale przed granicą jest jeszcze Bobinka, jakieś pięć-sześć domów, co kilkaset metrów rozrzuconych na wielkiej polanie. Jak to przy puszczy – wszystkie drewniane, jak to przy puszczy – już nie wszystkie zasiedlone. Wieś? Nie wieś? – Kolonia – **Szura Boguniowa** opiera się na skrzypiącej furtce, z zaciekawieniem patrzy na mój radiowy mikrofon. – Kiedyś była i wieś, ale za granicę wyjechała.

– Jak to wyjechała? Cała wioska? – udaję zdziwienie, bo przecież wychowałem się niedaleko stąd i o pogranicznych niuansach to i owo słyszałem. - Ano cała, z dobytkiem i budynkami. Nawet z ziemią – śmieje się. – Oczywiście żartuję. Ale z tym wyjazdem, to trochę prawda. Bo jak po wojnie granicę suwali, cała wieś akurat po tamtej, radzieckiej stronie została. Tu tylko kolonie. Kilka domów. – Suwali? To znaczy – nie od razu w tym miejscu granica stanęła? – patrzę na równą jak mur brzezinę, już po drugiej, białoruskiej stronie. – Chyba ze dwa razy, najpierw w czterdziestym czwartym stanęła, taka jakby niezupełnie prawdziwa, bo i przechodzić można było, w pole, na łąkę. A potem naprostowali w czterdziestym piątym i zamknęli na amen. Ale ja tego nie pamiętam, jak tu przyszłam w pięćdziesiątym ósmym, granica już stała. Tyle że lasu jeszcze nie było. A całą wieś po tamtej stronie kazali rozebrać i przenieść w głąb *sajuza,* na osiemset metrów, za tak zwaną *martwą zonę.*

Wzdłuż granicy, po białoruskiej stronie, brzozy w wieloszeregu, wszystkie jednakowe, od razu widać, że nie ręką natury ustawione. Za brzeziną pas pieczołowicie wybronowanej ziemi, dalej żwirówka i siatka z kolczastego drutu. Zawsze tak było. A z tej strony bez przeszkód podchodzi się do wymalowanego w biel i czerwień słupa. Więc podjeżdżam. Samochodem. Biało-czerwony słup udostojniony orłem w koronie, naprzeciwko czerwono-zielony, bez godła. W początku lat dziewięćdziesiątych też był biało-czerwono-biały, z dumną *Pahonią* zastygłą w mosiądzu. Potem beton przemalowano w aktualne barwy, a mosiężne odznaki cichaczem zdjęli kolekcjonerzy. I tak zostało do dziś. Między słupami, w symetrycznej odległości, ledwie widoczny w trawie, maleńki, kamienny słupek. Dokładnie w tym miejscu kończy się Polska i zaczyna Białoruś. Kusi, by postawić jeszcze jeden krok. Jednak w tej chwili w ciszę wdziera się warkot piły motorowej, kilkadziesiąt metrów dalej, z trzaskiem upada brzoza. – To pogranicznicy szykują opał na zimę – powie Boguniowa, gdy już wrócę z nieudanej wyprawy na Białoruś. – Codziennie tak.

c.d. na str. 2


Jak to przy puszczy, wszystko tu drewniane ... Fot. S. Kulik

A kiedyś tego lasu nie było. Widziało się domy po tamtej stronie. Zdawało się – wyjdziesz – polem, łąką i po piętnastu minutach będziesz u krewnych, co tam zostali.

Jednak odległości mierzonych ponad granicą, w żaden sposób nie da się zsynchronizować ze wskazówkami zegara. W przestrzeni zawieszonej nad dziesięciometrowym pasem zaoranej ziemi, czas płynie znacznie wolniej. Gdy w sześćdziesiątym szóstym wybrała się wreszcie odwiedzić pozostawionych w tej drugiej Bobince krewnych, zeszło półtorej doby w jedną stronę. Najpierw na zachód, furmanką do Witowa, dalej na południe, koleją do Czeremchy, przesiadka, Siedlce, przesiadka, Brześć. A potem już tylko godziny autobusem na północ. Gdy rankiem wyszła na schody, gdy spojrzała na swoją stronę granicy, z komina unosił się dym. Pomyślała nawet: o, mój Władek już zdążył z obrządkiem i dzieciom jeść gotuje.

Dajcie wypić brygadziście, a ja przyprowadzę waszych krewnych

- W sześćdziesiątym szóstym, to już chociaż można było pojechać – **Szymon Patejczuk,** opierając się o drzewce kosy, od kilku chwil przysłuchuje się naszej rozmowie. Wiatr, nadbiegający z południa, przynosi zapach świeżo ściętej trawy. – A wcześniej nawet paszportów nie było. Jak postawili tę granicę, to człowiek piętnaście lat krewnych nie widział.

- Ale w sześćdziesiątym pierwszym granica się otworzyła – korzystając z okazji, podrzucam zasłyszaną wcześniej historię. – No, dziwne to było otwarcie. Do dzisiaj nikt nie wie – co i dlaczego. Może prowokacja jaka była? – zastanawia się. – Jaka tam prowokacja – z właściwą kobietom prostotą, podchodzi do wielkiej polityki Boguniowa. – *Ruscy* pogranicznicy napili się, ot i cała prowokacja. – Sianokosy akurat były, zupełnie jak zaraz. I kołchoźnicy w martwej *zonie* przy sianie pracowali. Pod nadzorem żołnierza i brygadzisty. I ten żołnierz z brygadzistą na naszą stronę zaczęli chodzić. Bo przecież z tej strony pasa nikt nigdy nie orał. Więc jak już zaczęli przychodzić, wtedy żołnierz, a młodziutki był, i jakiś zupełnie nie tutejszy...

- Aha, czy nie Tataryn. Zdaje się, Achmed go zwali – podchwytuje Patejczuk. – Taki kosooki, czarniawy, *maja twaja nie panimaju.* Może i niezupełnie wiedział, że pilnuje największego na świecie mocarstwa.

- Więc ten żołnierzyk – znów przejmuje słowo Boguniowa – pewnego dnia powiada: dajcie wypić brygadziście, a ja przyprowadzę waszych krewnych. Mnie tam *wsio adno. Ni otca, ni matieri u mienia niet,* a wy posiedzicie z rodziną. I mnie będziecie wspominać przez wiele lat. - Pierwszego dnia, to może kilkadziesiąt osób przyszło. A już drugiego – na setki można liczyć.

- A trzeciego dnia cała ta łąka zapełniła się – zatacza ręką Patejczuk. – Może tysiąc, a może i dwa tysiące? Tyle zaraz nawet na *Splennie* w Werstoku pod cerkwią się nie zbiera. Jak poszła wieść, że przez granicę puszczają, to z całego powiatu jechali. I z Hajnówki, i z Białegostoku. Co dziwnego? Nigdy nie puszczali, a tu raptem puszczają. W całej okolicy wódki w sklepach zabrakło. Ludzie siedzieli na trawie, jedli, pili, rozmawiali i płakali.

- Moja kuzynka - piętnaście lat jej nie widziałem - też przyjechała, aż spod Brześcia. No to wziąłem na motor i przywiozłem do domu, do Policznej, pokazać jak tu żyjemy – przypomina **Stefan Leoniuk.** Siedzimy na ławeczce przed domem, w popołudniowym słońcu topole kładą się cieniem wprost na ulicę. O siedemnastej wraca z miasta ostatni autobus. Zupełnie pusty. A kiedyś, bywało, szpilki nie wetkniesz, tyle ludzi do Hajnówki do pracy jeździło. Nie bardzo chce mówić. – Czterdzieści lat minęło? Niby tak, ale po co to, i komu? Ot, spotkaliśmy się na chwilę z rodziną i wszystko. Tyle, że drobny podarek zdążyło się naszykować. Jakiś materiał na sukienkę, bo u nich to akurat czołgi robili i rakiety, i z ubraniami bieda była. Posiedziała ta kuzynka parę godzin i z powrotem. Zresztą tego dnia już skończyła się majówka. Może w Mińsku dowiedzieli się, a kto wie, może i w samej Moskwie? Tego brygadzisty nikt więcej nie widział. A Tatarowi to ludzie i paczki do więzienia posyłali. Ciekawe, czy doszły?

- No dobrze, a nasi wopiści, przecież tu, niedaleko, strażnica była – nie daję za wygraną.

- Strażnica była, owszem. Nawet dowódcę pamiętam. Wójcik? Nowak? – zastanawia się. – O widzisz, twarz pamiętam, a nazwisko uleciało. I wopiści naglądali. Tyle, że z daleka. Skoro *Ruscy* puszczają, znaczy tak i trzeba. Zresztą, ile oni tam mieli do gadania? Tyle, co Żyd za okupacji. A jak się wszystko wydało, o wtedy dopiero ruszyli po wioskach. „Byłeś na granicy? Przyznaj się, na pewno byłeś" – mnie też pytali. Nikt się nie przyznał. I dali spokój. Tylko butelki na łące wyzbierali. I wszystkie papiery, nawet te najdrobniejsze. Może jakieś tajne zapiski spodziewali się znaleźć? Kto ich tam wie?

O zmierzchu, gdy słońce wtula się w wierzchołki drzew, raz jeszcze zaglądam do Bobinki. Pod ścianą największego do niedawna imperium, zręcznie operując grabiami, Patejczuk rozbija świeżo położone pokosy. Pięknie pachnie skoszona trawa. - A gdyby tak zaraz, dzisiaj, ktoś otworzył granicę?

Na chwilę nieruchomieją grabie, patrzy na brzezinę pospiesznie chłonącą letni mrok: bo ja wiem? Tam już chyba nikt nie został ze znajomych. – Schyla się, podnosi kępkę soczystej zieleni, zgniata ją w dłoniach, jak gdyby wyciskał zaklęty w źdźbłach aromat ziemi. – Zapach trawy nigdy się nie zmienia – mówi. – A wiesz? Słyszałem, że po naszej stronie też zaczęli orać pas. Podobno doszli już od Czeremchy do Opaki.

Michał Androsiuk

O pochodzeniu nazw „Białowieża" i „Puszcza Białowieska"

Pochodzenie nazw „Białowieża" i „Puszcza Białowieska" pozostaje wciąż niewyjaśnione. Różni autorzy starają się od lat rozwiązać ten problem, wysuwając coraz to nowe hipotezy, ale żadna z nich nie postawiła kropki nad „i".

Nazwa „Białowieża" po raz pierwszy została wymieniona przez J. Długosza w „Rocznikach czyli Kronikach sławnego Królestwa Polskiego", napisanych w latach 1455-1480. Długosz podaje, że w 1409 roku król Władysław Jagiełło udał się z Kamieńca (Litewskiego) do „Białowieży za rzekę Lśnę (Leśną – dop. P.B.), gdzie przez osiem dni (był) zajęty polowaniem". Później nazwę tę wymienia za Długoszem w połowie XVI wieku M. Bielski w „Kronice wszystkiego świata...". pojawia się ona również w innych źródłach i dokumentach. Należy przy tym zauważyć, że używa się w nich formy zapisu „Białowieże", „Białowież". Nasuwa to myśl, że rodowód nazwy można byłoby powiązać z jakąś białą wieżą.

Właśnie ta hipoteza zdominowała wszystkie inne. Nie ma jednak zgodności pomiędzy różnymi autorami o jaką wieżę mogłoby chodzić. Autorzy polscy w większości przypuszczają, iż biała wieża (lub nawet kilka wież) mogła wieńczyć drewniany zameczek myśliwski królów polskich, wystawiony w początkach XI w. w obecnym uroczysku Stara Białowieża. Tego zdania są między innymi M. Bieliński i T. Lipiński oraz A. Połujański. Z kolei Z. Gloger i F. Gliński dopuszczają możliwość istnienia białych wież również w zamku wybudowanym przez Stefana Batorego w miejscu oddalonym od Starej Białowieży o około 2 kilometrów, które obecnie nazywa się Zamczysko (skądinąd wiemy, że akurat nie ten monarcha wystawił tu swoją budowlę, ale mniejsza o to!). Natomiast F. A. Ossendowski, J. J. Karpiński i B. Majewski nie wahają się sięgnąć dalej w głąb historii, twierdząc, iż mogły istnieć w Puszczy Białowieskiej zameczki myśliwskie z białymi wieżami wystawione przez Gedymina, Kiejstuta, czy innych książąt litewskich. Ich przypuszczenia wydają się być mało prawdopodobne. Natomiast zdecydowanie błędne jest wywodzenie nazwy Białowieża od białej wieży królewskiego dworu myśliwskiego, zbudowanego w końcu XVI w. na obecnej Polanie Białowieskiej. Wersję tę podaje słownik F. A. Brockhausa i I. A. Efrona, a także Z. Sokołowski oraz M. Kondraciuk. Należy uświadomić sobie, że nazwa ta w okresie budowy na tym miejscu dworu funkcjonowała już przynajmniej od półtora wieku.


Cerkiew p/w św. Mikołaja w Białowieży
Fot. Aleksy Moroz

F. Gliński, G. Karcow oraz cała plejada współczesnych autorów białoruskich i rosyjskich wskazują – powołując się na odpowiedni zapis w Latopisie Ipatjewskim – na możliwość powstania nazwy Puszczy od wieży wzniesionej na polecenie księcia wołyńskiego Włodzimierza Wasilkowicza w 1276 r. w Kamieńcu Litewskim, w miejscu połączenia się rzek Leśnej i Białej.

Wieża ta – dzieło rąk budowniczego Aleksy – służyła do celów obserwacyjno – obronnych. Podobno w dawnych czasach ludność nazywała ją „białą", to jest niezdobytą i dlatego zaczęto ją później bielić. O fakcie bielenia wnioskuje się ze śladów farby, zachowanej jeszcze od połowy XIX wieku. W 1960 roku wieżę znów pomalowano na kolor biały. P.Osadczij i W.Bawrin przypusz-czają, że od tej wieży Puszczę nazwano początkowo Białowiesko-Kamieniecką później zaś tylko Białowieską (tezie tej stanowczo zaprzecza O.Hedemann). W.P.Kisiel z kolei zwraca uwagę na fakt, iż wśród miejscowej ludności i w latopisach biała wieża w Kamieńcu jest nazywana „Kamienieckim stołpom". Także w „Białoruskiej Radzieckiej Encyklopedii" (Minsk 1972, T.V. s.362) figuruje pod hasłem „Kamieniecka wieża". Owszem, określenie „Biała Wieża" funkcjonuje, ale jest używane rzadziej, niż poprzednie.

Przyjmując hipotezę o białej wieży w Kamieńcu, autorzy zgodnie stwierdzają, że w tym przypadku nazwę najpierw musiała otrzymać Puszcza, a dopiero od niej nazwano miejscowość. O ile po stronie białoruskiej w większości optuje się za białą wieżą w Kamieńcu, to zdarzają się autorzy, którzy dostrzegają i inne wieże w Puszczy, od których można byłoby wprowadzić rodowód nazw. P. Szewcow podaje, iż mieszkańcy Puszczy pamiętają legendy mówiące o tym, że np. jedna z wież znajdowała się w miejscu połączenia rzek Leśnej Lewej i Pluskowki. Jest tam nawet wieś o nazwie Wieżnoje. Być może mnogość wież w masywie białowieskim spowodowała, że główną miejscowość wewnątrz Puszczy nazwano „Białowieże".

Z ciekawą hipotezą dotyczącą jeszcze jednej „białej wieży" wystąpił w 1972 roku M. Hajduk. Rodowód nazw miejscowości i Puszczy powiązał on z koczowniczym plemieniem Połowców. Połowcy, jak wiadomo, w XI wieku dotarli do Wołgi oraz Dniepru i rozpoczęli długotrwałe wojny z Rusią Kijowską. Pokonani przez księcia Włodzimierza Monomacha, zostali częściowo włączeni do państwa Kijowskiego. Od tego czasu zaczęli odgrywać w nim znaczącą rolę. Uczestniczyli bowiem niemal we wszystkich bitwach książąt ruskich, w tym także z Jaćwingami i Litwinami. W bojach wykazywali tak duże męstwo, jakby bronili swoich ziem. Jest to poniekąd zrozumiałe gdyż ich osady znajdowały się przeważnie na pograniczu rusko-jaćwieskim. Wskazuje na chociażby nazwa wioski Połowce, położonej niedaleko Hajnówki oraz znaczna ilość nazw ze słowem "kobyła", rozsianych po całej Białostocczyźnie (w samej Puszczy Białowieskiej mamy uroczyska: Kobyła, Kobyli Ostrowok, Kobyli Hrudok, Kobyli Borek, Kobyla Szyja). Wiadomo, że Połowców przezywano „kobylakami", gdyż ci hodowali dużo kobył i z ich mleka przygotowywali kumys. Przenośne osady Połowców w owych czasach nazywano „wieżami". Trzeba też pamiętać, że dawna stolica Połowców, która znajdowała się w dolnym biegu rzeki Don, nazywała się Sarkel albo Biała Wieża (stąd też samych Połowców nazywano w Rusi Kijowskiej „białowieżcami").

Jest wielce prawdopodobne, że któryś z książąt halicko-wołyńskich osiedlił znaczną część swych obrońców w Puszczy, by chronili północne rubieże księstwa. Połowcy mogli więc nazwać nową siedzibę imieniem swojej stolicy w dawnej ojczyźnie, przesiedlające się bowiem narody mają w zwyczaju tak czynić. I możliwe, że od tej właśnie Białej Wieży utworzono z czasem nazwę dla całej Puszczy.

Część autorów białoruskich, jak np. W. A. Żuczkiewicz czy M. P. Kowalkow, zwraca szczególną uwagę na słowo „biały", jest szeroko rozpowszechnione na tym terenie (w samej Puszczy np. występują rzeka i wieś o nazwie Biała, wsie Biała Góra, Biały Lasek, uroczyska Biały Las, Bieła Woda, Biełaja Hlina, Biely Bahon, Biely Lad, Bielicze Borki).

Niegdyś określenie „biały” oznaczało nie tylko kolor, ale również „wolność”, „niezależność”. Np. pod pojęciem „biali chłopi rozumiano chłopów wolnych od świadczeń i powinności wobec państwa. Wiedząc, że w rejonie puszczy znano i używano również słowa „wieś”, autorzy wysunęli hipotezę, iż nazwa kompleksu leśnego mogła powstać od osady Biała Wieś, przekształconej w procesie asymilacji toponimicznej w Białowież. Podobne domniemanie wysuwa G.Karcow, z tym jednak, że słowo „wieś” łączy on z nazwą rzeki Biała.


Najstarszy, drewniany budynek w Białowieży
Fot. Aleksy Moroz

Kolejną wersję serwuje nam słownik Brockhausa i Efrona, a także J. J. Karpiński i O. Hedemann. opierając się na często występujących w Puszczy nazwach przywodzących na myśl Jaćwingów (np. Jaźwinka, Jaźwinki, Jaźwina, Jaźwiny, Jaźwa, Jaźwińska Hora, Jaźwińska Piecz, Jaźwiński Dub), autorzy wywodzą nazwę kompleksu leśnego od Białej Jaćwieży, przez następujące przejścia: Biała Jaćwież - Biała Ćwież – Biała Wież – Białowieża, a stąd i Puszcza Białowieska. Niestety, onomaści są zdania, że przytoczone nazwy uroczysk nie mają nic wspólnego z Jaćwingami, a pochodzą od słów "jazwa", „jazwina”, oznaczających „małe błoto, bagno”. G. Westberg z kolei przypuszcza, że nazwa Białowieży mogła powstać od połączenia litewskich słów „bala” i „weszu”, które oznaczają „osadę nad podmokłą łąką”. Mało przekonywująca jest kolejna hipoteza, wysunięta przez J. J. Karpińskiego. dopuszcza on utworzenie nazwy Puszczy od wrażeń wzrokowych, jakich doznawał człowiek podczas zetknięcia się z tym kompleksem leśnym. Dlatego miał on być nazywany początkowo Puszczą Białą. Tymczasem łatwo jest przekonać się, że Puszcza o każdej porze roku rysuje się na horyzoncie czarno, także jej wnętrze jest zdecydowanie ciemne, mroczne. Z mało też przekonywującą hipotezą wystąpił w 1925 roku M. Romanow. Wskazywał on na związek nazwy Puszczy z życiem religijnym dawnych Słowian, a dokładniej – z kultem Białoboga. Miałaby zatem Puszcza nazywać się pierwotnie Białoboską.

Czy pośród tych hipotez któraś jest prawdziwa? Obawiam się, że tego nigdy się nie dowiemy.

Piotr Bajko

Андрэй Мароз

Філамат з Падляшша

Сёння мала хто ведае асобу славутага калісьці на Беласточчыне філамата і падпольшчыка Міхала Рукевіча. Іроніяй з'яўляецца тое, што чалавек, які так стараўся зберагчы ад забыцця старажытную культу-ру нашых зямель, быў забыты наступнымі пакаленнямі сваіх землякоў. Але цяпер мы павінны памятаць пра філамацкія вытокі фармавання беларускай нацыянальнай свядомасці і пра арганізатара нелегальных згуртаванняў у нашых ваколіцах, які імкнуўся закараніць сярод беларусаў ідэі вольнасці і незалежнасці.

Нарадзіўся **Міхал Рукевіч** у 1795 годзе ў сям'і беларускага шляхціца ў вёсцы Гозьна. Скончыўшы Беластоцкую гімназію ў 1812, ён запісаўся ў Віленскі універсітэт. Не давялося аднак юнаку пачаць вучобу ў Вільні. Летам напалеонскія войскі перайшлі межы Расійскай Імперыі і на хвалі патрыятычнага ўздыму Міхал запісаўся ў польска-беларускі корпус. Бязвусы улан пабываў у многіх бітвах, а за праяўленую адвагу яму была прысуджана самая высокая ўзнагарода – Ордэн Ганаровага легіёна. Потым малады ліцвін трапіў у палон, а калі вярнуўся на Радзіму, вырашыў ізноў узяцца за вучобу.

У 1816 годзе ён другі раз паступіў у Віленскі універсітэт на юрыдычны факультэт. Запраўленага ў бітвах жаўнера з радасцю прынялі ў Таварыства філаматаў – згуртаванне студэнтаў створанае з мэтай узаемадапамогі ў паглыбленні адукацыі і грамадскай працы для зняволенай Айчыны.

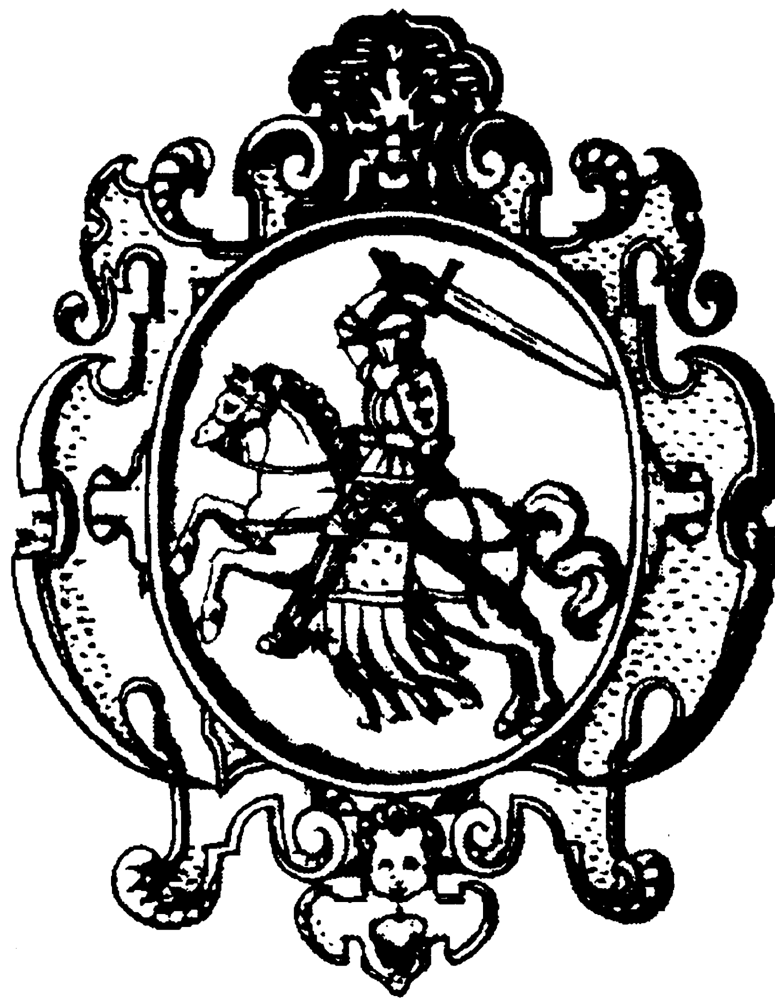
І тут Рукевіч праявіў сябе як выдатны арганізатар моладзі, завадатар і ўдзельнік многіх філамацкіх збораў і маёвак. За свой вясёлы пароў і арганізатарскі талент вельмі яго цаніў Адам Міцкевіч. Міхал быў чалавекам дзеяння, часта выступаў з цікавымі прапановамі, а з Тамашам Занам заснаваў Таварыства прамяністых, дзе на першым сходзе прачытаў Малітву прамяністых, якая выклікала занепакоенасць універсітэцкіх уладаў сваім радыкалізмам і адкрытасцю. Асаблівае значэнне падаваў Рукевіч вывучэнню роднага краю. Разам з Малеўскім стварылі Статыстычны камітэт і апрацавалі спецыяльную інструкцыю для збірання звестак з тэрыторыі ўсяго былога Вялікага княства літоўскага. Згодна з дакументамі філаматы па выездзе ў родныя мясціны, павінны былі даць падрабязнае апісанне сваёй парафіі, асвятліўшы такія пытанні, як геаграфічнае становішча, велічыня тэрыторыі дарогі, веравызнанне, гаспадарка, асвета, звычаі і абрады, і іншыя.

Вядома, што такую працу Рукевіч падрабязна правёў на роднай Беласточчыне, аднак гэтыя матэрыялы, на жаль, не захаваліся.

У 1820 годзе Міхал Рукевіч скончыў вучобу ва ўніверсытэце, атрымаў дыплом кандыдата права, выехаў на Падляшша і гаспадарыў у вёсцы Мінькаўшчына, дзе бацька арандаваў фальварак. Але і тут ён не спыніў сваёй дзейнасці культурнага і палітычнага выхавання літоўскай моладзі.

У Беластоку арганізаваў згуртаванне гімназістаў Згодныя браты, перайменаванае потым у Зоран, а ў Сакулцы, Бельску, Драгічыне і Шчучыне саюзы патрыятычнай моладзі з мэтай навуковага дасканалення і палітычнай дзейнасці. У 1823 годзе ён пераехаў у Завыкі каля Бранска і ўзяўся за стварэнне падполля сяпод вайскоўцаў Літоўскага асабога корпуса, часці каторага былі размешчаны ў Бельску і Бранску. Да ўтворанага Таварыства ваенных сяброў хутка далучылася шмат цывільных з розных слаёў грамадства, Зоран і другія, пакліканыя Рукевічам згуртаванні. Таварыства было звязана з дзекабрысцкімі арганізацыямі Расіі і падтрымала выступленне 14 снежня 1825 года на Сенацкай плошчы ў Пецярбурзе, што стала непасрэднай прычынай выяўлення і арышту ўсіх арганізатараў падполля ў Літоўскім корпусе. Суд прыгаварыў Рукевіча і афіцэраў Таварыства на смяротнае пакаранне, зменянае царом на шматгадовую катаргу і дальнейшае пасяленне ў Сібіры. У 1828 годзе арыштантаў даставілі ў Чыту і памясцілі ў цесныя камеры разам з дзекабрыстамі. Там Рукевіч сустрэў самых славутых сыноў Расіі – Сяргея Трубяцкага, Мікалая Бястужава, Аляксандра Адоеўскага і іншых паўстанцаў 1825 года. Дзекабрысты цанілі беларускага шляхціца за вясёлы нораў і ўменне пераносіць цяжкасці жыцця. Пасля пяці гадоў катаргі выслалі яго ў вёску Коркіна Іркуцкай губерні. Там Рукевіч ажаніўся, атрымаў зямельны надзел і заняўся гаспадаркай. Кемлівы беларус хутка праявіў і прадпрымальніцкія здольнасці – арганізаваў гандаль рыбай і сельскага спадарчымі прыладамі. Аднак жорсткі клімат і шматлікія зайздроснікі падарвалі слабое здароўе пасяленца і ў верасні 1841 года Міхал Рукевіч памёр, пакінуўшы пасля сябе двое малых дзяцей.

Не суджана было змагару вярнуцца на родную Беласточчыну, але барацьба пачатая філаматамі ў Вільні разлілася на ўсю Беларусь. Пачала фармавацца нацыянальная свядомасць беларусаў-ліцвіноў, з'явіліся літаратурныя творы на жывой беларускай мове і аджыла цікавасць да багатай спадчыны нашага народа.



З ПАГОНЯЙ НАШ СЦЯГ

Хай звініць аб чашу чашы –
Будзь жа з намі весялосць!
Жарт, прыйдзі ў забавы нашы,
Філарэтаў любы госць!

...Гэй, браты, гэй, філарэты!
Смех і радасць зноў у нас!
Ці ж ужо ўсе песні спеты?
Не мінуў яшчэ наш час!

Дык калі пакінуць трубы
Нас у сонечны прасцяг,
Дружна ўздымем вольналюбы
Мы з Пагоняй нашай сцяг!

Фрагмент верша Міхала Рукевіча
ў перакладзе Кастуся Цвіркі

Міхась Андрасюк

Ой ляцелі гусі з броду...

Калі б сучасных саракапяцігодкаў запытаць – пад якую музыку танчылі яны ў сямідзесятыя гады, на Гайнаўшчыне і на Бельшчыне, у Гарадку, ці пад Сямятычамі, атрымаецца такі больш-менш перападлік: *Czerwone gitary, Trubadurzy, Maryla Rodowicz, Janusz Laskowski.* Асабліва апошні карыстаўся бязмежнай папулярнасцю. Мо таму, што знаёмасць трох, так званых *хвытаў-акордаў* давала магчымасць зайграць *Бэату,* або *Жулты есенны лісьць,* і хлопец, які не далей учарашняга дня наладзіў сяброўства з гітарай, зараз мог сябе лічыць музыкантам. Больш славалюбныя браліся за замежны рэпертуар, хаця б – *дэ Бітлз.* І вось гучалі ў вясковых задворках – *Yellow submarine* на дзіўнай ангельшчыне, *Girl* у перакладзе на польскую: *„Los tak chciał, że w życiu swym musiałem spotkać ciebie, spojrzeć w ukochane oczy twe."* Ну, калі прыпамінаеце, тады вам вядома ў чым справа.



Ліцэістка Марыёля

Але вось. *Забавы* сваёй дарогай, а нашым хлопцам і дзяўчынам, адтанчыўшы халасцяцтва ды паненства, трэба было жаніцца, трэба было выходзіць замуж. А як свет светам – няма вяселля без танцаў. І тут паяўлялася праблема. Паколькі маладыя беспамылкова ўладкоўваліся ў новыя рытмы, тады старэйшаму пакаленню ніякім чынам не падыходзілі ні *„Малгоські"*, ні *„Дзесяць у скалі Бафорта",* ні другое, хаатычнае перабіранне нагамі.

„Давайце бубон, і давайце гармоню" – заяўлялі. А як сапраўдная музыка – успрымалася *„Каробушка", „Вочы чорные", „Вальс на сопках Манджурыі."* Ну, можа яшчэ *„Танга Мілёнга".* А маладыя, калі ўжо бачылі, як на *забаву* валакуцца бубнар з гарманістам, давалі кароткі, саркастычны каментар: зноў зайграюць *„сьвіні у ріпі".*

Ну, звычайны канфлікт пакаленняў з музыкай у фоне. І такім чынам дабрылі мы да галоўных герояў сённяшняй аповесці: гурт *Дубіны,* які ўпершыню на Беласточчыне, паказаў, што сярмяжныя *„свіні ў ріпі",* як і ўсё, што беларускае, можна зайграць зусім іначай, у новай аранжыроў-цы, ды карыстаючыся маладзёвымі інструментамі. На пытанне, чаму ў той час на Беласточчыне гурт стаў своеасаблівай з'явай, заснавальнік і лідэр *Дубіноў* Пётр Скепка, адказвае:

-Малаважна дзе, у Кнаразах, у Плёсках, ці таксама ў кожнай мясцовасці на Гайнаўшчыне, калі мы выходзілі на сцэну, пакуль разлажылі інструменты, пакуль прагучалі першыя ноты, людзі ўжо ведалі, што паслухаюць беларускую, падляскую музыку. Вядомыя сабе мелодыі, вядомыя тэксты. Якое ж тады дзіва, калі пачыналі спяваць разам з намі? Або і такое: пераязджаеш вёскай - Трывежа, Арэшкава, Ласінка ці Чыжы - з разчыненых вокнаў гучыць твой голас. З магнітафоннай стужкі. Хіба ж ёсць лепшая зарплата музыку? Таксама з назвай. Былі ўсякія Аверсы, Рэвэрсы, Хімералі, а мы звычайна, Дубіны. Бо мы з Дубіноў.

Пакуль аднак давялося стаць аб'ектам усеагульнага захаплення, пакуль публіка пачала спяваць разам з Дубінамі, трэба было перступіць доўгі шлях. А пачалося больш-менш так: калі маці вучня чацвёртага класа пачатковай школы, Пятра Скепкі збіралася з'ездзіць да сваёй сястры ў Слонім, атрымала ад сына ні то просьбу, ні то загад: „прывезі акардэон." Ці ж можна адмовіць адзінаццацігодку? І такім чынам, у хаце Скепкаў паявіўся гармонік. Не надта ж пышны, раптам восем басаў, ды і клавішы невялікія – за тое якраз на дзіцячую далонь. Запамяталася таксама ягонае імя – *Беларусь.* Малы кандыдат у музыкі не адступаў інструмент ні днём, ні ноччу, а пасля тыдня зайграў першую мелодыю – *Каробушку.*



ДУБІНЫ – 08. 03. 1987(фота з архіва Беларускага ліцэя)

У 1973 годзе, у дубінскай *святліцы* спаткаліся тры хлопцы. Пётр Скепка, Янка Пракапюк і Яўген Сегень. Спатыкаліся, вядома і раней – аднак толькі зараз згаварыліся пра музыку.Згаварыліся і – маўляў – дагаварыліся. Пётр узяўся за акардэон, Янка за гітару, Яўген сеў за бубны. І ў такім калектыве, падмацаваўшыся кароткімі рэпетыцыямі, адбылі першы публічны канцэрт. Ну, так па шчырасці – зайгралі *на забаве.* У вёсцы Барок, што на Гайнаўшчыне. А што гралі? Усё, што было можна танцаваць. Першыя інструменты, ды і так званае абсталяванне, з сённяшняга пункту гледжання – захапляючымі не назвеш. *Эльтрон* – трыццатка, такі ж *Рэгент*, бубны – *Польмуз*, гітары - чэшскі *Дыямант* і польская *Муза.*

Будучы лідэр гурта, Пётр Скепка пачаў з верасня адукацыю ў беластоцкім электрычным тэхнікуме, заглядаў таксама і на вуліцу Подлесьну, у музычную школу, а там знайшоў яго пан Сьруткоўскі, зрабіў неабходны экзамен і сказаў: „прыходзіць у *Курп'е Зелёнэ.*" Так і зляцелі – у тэхнікуме ды *Курп'ях* – тры гады. У будзённыя папоўдні спяваў ды танцаваў польскі фальклор, а па суботах з'яжджаў у Дубіны, дзе з хлопцамі, калі не было патрэбы праводзіць рэпетыцыі, грузілі інструменты ў нейкі *жук* ці *нысу* і давай па вёсках, на *забаву.*



Канада – 1988

Канікулы – першыя пасля *матуры*, так і прайшлі – ад забавы да забавы, ад вяселля да вяселля. Напрыканцы вакацыяў паспелі яшчэ зайграць у Новым Корніне – прыпамінаецца маленькі дом культуры – *Вочы чорныя,* якоесьці танга, але таксама – *Ты ж мэнэ подманула, Тэчэ вода, Ой ляцелі гусі з броду.* А ўвосень 1976-га, адгукнулася армія: „ну хлапец, пасталеў сяк-так? Тады і давай у *камашы."* Музыкантам – як кажуць – у кожных абставінах добра. І беластоцкі *ВОП,* куды трапіў Пётр Скепка, тасама тут не выключнасць. Бо калі другім жаўнерам даводзілася сноўдаць туды й назад уздоўж польска-савецкай граніцы, ды сачыць за ўсякімі шпёнамі-дыверсантамі, такі музыка сядзеў сабе ў цёплай зале, дзьмухаў ў кларнет, ці другую нейкую трубу, ды бавіў час, што астаецца да *цывіля.* Два гады - такі быў у той час тэрмін вайсковай службы - прайшлі значыць без залішніх камплікацыяў. Была восень, 1978 год. Апрануўшы хусту *рэзэрвіста,* паехаў дамоў. І зараз - можна сказаць - разгарнуўся новы, ці не асноўны перыяд у гісторыі *Дубіноў.* Пачалося назіранне за новымі людзьмі. На добры пачатак, пасадзіў Пётр за бубны свайго брата Валодзю.

Тым часам у беларускі ліцэй у Гайнаўцы, як паслухмяныя вучні, хадзілі маладыя людзі - Марыёля Пшыходзкая і Дзьмітры Тыханюк. Паколькі цікавіліся яны музыкай, і паколькі Пётр Скепка, распрануўшыся з мундзіра якраз у гэты ліцэй накіраваў крокі ў пошуках новых талентаў, не маглі яны размінуцца. Хаця - калі гаварыць пра Дзмітрыя - атрымалася крыху выпадкова. Не ён менавіта, а ягоны брат Алік прадбачваўся як маэстра гітары. Калі аднак раз і другі не з'явіўся на рэпетыцыях, страціў месца на карысць малодшага брата. Была таксама гісторыя і з Марыёляй. Так гэта зараз успамінае Пётр Скепка: *Калі першы раз узяла мікрафон, думаў проста вытурыць са сцэны. Такі быў яе* - як называе - *przeraźliwy голас. Усё-такі адчувала музыку, працавала над сабою. І потым - не ўявіць „Дубіны" без Марыёлі.*

З вучнямі была яшчэ і другая праблема: узнікала пытанне - што на тое школа? Бо хто ж такое бачыў - напрыканцы сямідзесятых гадоў - каб вучні беларускага ліцэя служылі музыкантамі на *забавах* ці вяселлях? Калі пра Дзмітрыя - перспектывы былі. Ён, як выдатнік у навуцы, карыстаўся ў настаўнікаў асаблівай ласкай. Але ў адносінах да Марыёлі, пытанне стаўлялася сур'ёзнае: дазволяць? А калі не дазволяць? Мала, што вучаніца, дык яшчэ дзяўчына.... Пайшоў Пеця па прафесарах. Паспрыяў дырэктар Іванюк, добрае слова сказаў Васіль Сакоўскі і - неяк - атрымалася. На невялікай сцэне, у Тыневічах, ліцэістка Марыёля Пшыходзкая паказалася першы раз як салістка. І асталася ў калектыве на шмат гадоў. Значна пазней, выступаючы з *Дубінамі,* падтрымоўвала сваім голасам і вакальна-інструментальны - так, так, быў такі!- гурт гайнаўскіх міліцыянераў. І вось супольна здарылася ім паехаць на агляд у Шчытна. А ў Шчытне сядзеў сабе ў жыры пан Тадэуш Александровіч, рэжысёр вядомага ў Польшчы, прафесіянальнага калектыву *Граніца.* І не адно сядзеў. Сачыў таксама за новымі, цікавымі выканаўцамі. А праз тыдзень заехаў у Гайнаўку, адразу на кватэру Пшыходзкіх. Прапанова была канкрэтная: удзел у *Граніцы.* Такім вось чынам у *Дубіноў* не стала салісткі. Зноў давялося музычнаму кіраўніку шукаць новыя асобы. І яны з'явіліся. Вось хаця б Галіна Якімюк, з вядомай у Чыжах музычнай сям'і Якімюкоў, на якіх і зараз замацоўваецца гурт *Чыжавяне....*

Дзмітры тым часам - паралельна - кіраваў свае зацікаўленні і ў напрамку царкоўнай музыкі. Здаралася, чакалі ўсе ў *нысцы* побач царквы, калі ўжо закончацца рэпетыцыі парафіяльнага хору, а затым, камплектным складам адпраўляліся іграць *забаву.*

У чэрвені 1988 адправіліся значна далей. У Канадзе, канкрэтна - у Таронта, прадбачваліся ў пачатку верасня васемнаццатыя сустрэчы беларусаў Паўночнай Амерыкі. Ад Беласточчыны паехалі між другімі Уладзіслаў Праховіч і - вядома - гурт *Дубіны*: Пётр і Валодзя Скепкі, Дзмітры Тыханюк, Янка Крынскі, Андрэй Іванюк, Ґаліна Якімюк. Нідэрландскім самалётам з Варшавы ў Амстэрдам, затым у Мантрэаль, а далей, у Таронта на аўтамашынах. Таксама ж - на аўтамашыне Алеся Палескага, у той час эмігранта з Гайнаўшчыны, які ад Канадскага таварыства „Беларусь", быў ініцыятарам запрашэння *Дубіноў* у Амерыку. Пакуль пачаліся тыя сустрэчы, была нагода... Менавіта, што мог рабіць, трапіўшы ў Амерыку напрыканцы васьмідзесятых гадоў жыхар Польшчы, калі ягоная штомесячная зарплата абмяркоўвалася на дваццаць долараў? Вядома, выпрацаваць яе - у горшым выпадку - у адзін дзень.

Выступілі ў мастацкай частцы Сустрэчаў. Дзень раней, у суботу вечарам зайгралі да танца, а ў нядзелю, як першы паказаўся на сцэне танцавальны калектыў Алы Орса Романо *Васількі,* затым Данчык і на заканчэнне *Дубіны.*

На Беласточчыну вярнуліся пасля трох месяцаў. Праўда, не ўсе, бо Пятру Скепку пабыўка за акіянам зацягнулася на месяцаў шэсць. Дарэчы - з'ехаў туды ў 1990, ужо на шмат гадоў. Адсутнасць лідэра не паспрыяла *Дубінам.* Гурт - можна сказаць - рассыпаўся. І хаця зараз, вярнуўшыся ў Гайнаўку, Пятро Скепка не апускае рукі, шукае новых, маладых выканаўцаў, адказаць на пытанне, ці адродзяцца *Дубіны,* я асбіста не маю адвагі. Як не маю адвагі даць адказ на пытанне, ці можна два разы ўступіць у адну і тую ж раку. ***Міхась Андрасюк***

Z lokalnej historii

Sławomir Iwaniuk

Kołchozy na Białostocczyźnie w latach 1940 – 1941 w świetle ankiet opisowych z 1948 r.

W czerwcu 1948 r. sytuacja polityczna w państwach środkowoeuropejskich – podległych dyktatowi Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich – ustabilizowała się na tyle, że Biuro Informacyjne Partii Komunistycznych i Robotniczych wydało dyspozycje w sprawie przystąpienia do przebudowy rolnictwa poprzez kolektywizację gospodarstw indywidualnych. Była to forma narzucenia wzorców radzieckich w sferze polityki rolnej tzw. krajom demokracji ludowej, a w tym także Polsce. Wykonawcami decyzji Biura Informacyjnego miały być rządzące w tych krajach partie komunistyczne. Na plenarnym posiedzeniu Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w Warszawie w dniach 6-7 lipca 1948 r. podjęto decyzję o tworzeniu w Polsce rolniczych spółdzielni produkcyjnych – powszechnie nazywanych kołchozami.

Na Białostocczyźnie politykę kolektywizacji rolnictwa próbowano realizować w latach 1940-1941, kiedy region ten znalazł się w granicach ZSRR. Władze radzieckie popełniły wówczas wiele błędów. Kołchozy zakładano wtedy w poszczególnych wsiach pod naciskiem radzieckiego aparatu administracyjnego, a także NKWD (Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych). Nic więc dziwnego, że w 1948 r. kierownictwo wojewódzkiej organizacji PPR obawiało się negatywnej reakcji środowisk wiejskich wobec powrotu kolektywnych metod gospodarowania.

Należy więc sądzić, że zarządzona we wrześniu 1948 r. przez Wydział Rolny Komitetu Wojewódzkiego PPR w Białymstoku ankietyzacja byłych kołchozów miała służyć rozpoznaniu nastrojów wśród tych zbiorowości, w których kilka lat wcześniej udało się utworzyć zespoły kolektywnej uprawy ziemi i hodowli zwierząt.

Najwcześniej na pismo KW PPR w Białymstoku z dn. 25 IX 1948 r. – rozesłane do siedmiu „starych powiatów” (Augustów, Białystok, Bielsk Podlaski, Grajewo, Łomża, Sokółka, Wysokie Mazowieckie) – odpowiedział Komitet Powiatowy PPR w Łomży, który 7 X 1948 r. wysłał jedną ankietę dotyczącą kołchozu w Piątnicy, gm. Drozdowo. (...) Z Bielska Podlaskiego przysyłano ankiety trzykrotnie: 19 października oraz 4 i 12 listopada. (...)

Sławomir Iwaniuk

Ankieta opisowa [nr 8] byłych kołchozów organizowanych w latach 1940-1941

1. Powiat Bielsk Podlaski, gm. Orla, wieś Mochnate
2. Kiedy dany kołchoz powstał? 1940 rok, kwietnia 4.
3. Ile gospodarstw wchodziło do kołchozu? 39 gospodarstw.
4. Ile ha ziemi było zespolonej? Ponad 200ha.
5. Nazwiska członków zarządu kołchozu i kto z byłych członków zamieszkuje w tej miejscowości? Kuczko Aleksy prezes zarządu, Selwesuk Makar, Kot Konstanty, Kuczko Jan, Onopryjuk Grzegorz, 2 członków było zabranych przez gestapo i nie wróciło się, 1 zmarł.
6. Do jakiej partii należą pozostali przy życiu byli członkowie zarządu? 2 członków do PPR, a reszta bezpartyjni.
7. Co chłopi mówią o tym kołchozie? Członkowie, którzy pozostali przy życiu nie narzekali i nie narzekają, gotowi w obecnej chwili do wstąpienia do spółdzielni produkcyjnej, reszta ob[ywateli] wsi, którzy nie byli członkami kołchozu ustosunkowują się negatywnie.
Gm[inny] Sekr[etarz] PPR Mikołaj Stelmaszuk

Ankieta opisowa [nr 10] byłych kołchozów organizowanych w latach 1940-1941

1. Powiat Bielsk Podlaski, gm. Narew, wieś Kleniki
2. Kiedy dany kołchoz powstał? 15 II 1941 r.
3. Ile gospodarstw wchodziło do kołchozu? 13.
4. Ile ha ziemi było zespolonej? Około 100 ha.
5. Nazwiska członków zarządu kołchozu i kto z byłych członków zamieszkuje w tej miejscowości? Prezes Gawryluk Antoni został rozstrzelany przez Niemców w 1941r.
6. Do jakiej partii należą pozostali przy życiu członkowie zarządu? Z pozostałych członków zarządu obecny pozostał Gawriluk Aleksy – członek PPR.
7. Co chłopi mówią o tym kołchozie? Uczestnicy byłego kołchozu mówią, że to był postęp dobry w rolnictwie, jako wyższa forma od indywidualnej gospodarki, zaś reszta mieszkańców wsi nie doceniła tego rozwoju.

Ankieta opisowa [nr 17] byłych kołchozów organizowanych w latach 1940-1941

1. Powiat Bielsk Podlaski, gm. Kleszczele, wieś Wojnówka.
2. Kiedy dany kołchoz powstał? W roku 1940.
3. Ile gospodarstw wchodziło do kołchozu? 25.
4. Ile ha ziemi było zespolonej? 229 ha.
5. Nazwiska członków zarządu kołchozu i kto z byłych członków zamieszkuje w tej miejscowości? 1/ Prezes Sajewicz Michał syn Jana, 2/ sekretarz i buchal[ter] Łukaszuk Szymon. Sajewicz Michał obecnie zamieszkuje we wsi Wojnówka i do partii żadnej nie należy, Łukaszuk Szymon zabity Niemcami za działalność iż partyzantami.
6. Do jakiej partii należą pozostali przy życiu członkowie zarządu? –
7. Co chłopi mówią o tym kołchozie: że zespołowe gospodarstwo byłoby lepsze, no trzeba więcej sprawiedliwości – to zdanie biedniaków, zaś ci, którzy sobie nabrali dużo i lepszych gruntów pomajątkowych, to dla nich kołchoz nie podoba się.

Tekst drukujemy za Białoruskimi Zeszytami Historycznymi, Białystok 1998, nr 9.

Taisa Ranchbee

HAJNÓWKA Z ODDALI

Nie ukrywam, że jechałam do Hajnówki prowadzona wielką ciekawością. Miasta, w którym kończyłam szkołę średnią nie widziałam – można rzec – od matury. Chyba, że przejazdem, gdy w okresie studiów po drodze było z Warszawy do domu rodziców. Podobnie zresztą z kolegami i koleżankami ze szkolnej ławy – od czerwca 1978 nie spotkałam większości z nich. I kiedy wiosną 2000 roku jedna z koleżanek zadzwoniła z informacją o planowanym na czerwiec zjeździe absolwentów mojego liceum, od razu wiedziałam, że muszę tam pojechać.

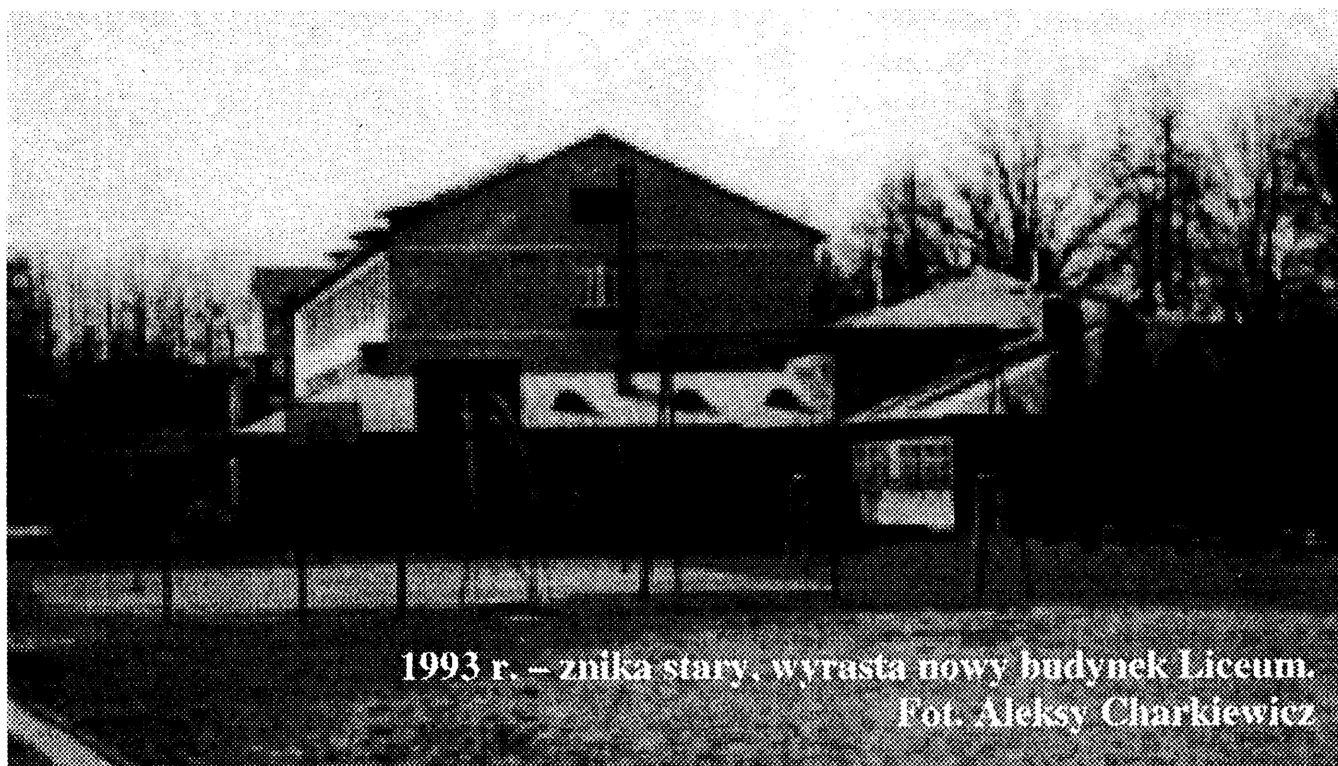
Trudno po kilku dniach pobytu powiedzieć coś o Hajnówce, o jej problemach i perspektywach. Łatwiej, oczywiście mówić o tym, co widzimy, o wyglądzie zewnętrznym, tym bardziej, że jednak w ostatnich dwudziestu latach zaszły w mieście dostrzegalne zmiany. Przede wszystkim nie ma mojej starej szkoły. Nowy budynek białoruskiego liceum, to szkoła nowoczesna, przestronna, dobrze wyposażona. Pozostaje jednak i ów niematerialny czynnik emocjonalny. Gdzie tamta klasa z piecem kaflowym w kącie? tamten korytarz? podwórko? sad? Takie pytania powtarzali zresztą wszyscy, komu wypadło uczyć się w starej szkole.

Czy można porównywać Hajnówkę z miastem, w którym obecnie mieszkam? Owszem, tak, jeżeli jednak chodzi o podobieństwa, nie ma ich zbyt wiele. Kończą się w zasadzie na tym, iż są to miasteczka niewielkie. Hajnówka leży na krańcach Polski, a Bolsta czterdzieści kilometrów od Sztokholmu. Pomijając różnice w rozwoju ekonomicznym Polski i Szwecji, już niewielka odległość od stolicy ma wpływ na stopę życiową mieszkańców, na rozwój nauki, kultury, nawet na infrastrukturę komunikacyjną. Mówiąc w największym skrócie – w Bolsta wszystko jest inne. Inna architektura, szczególnie widoczna w przypadku domków jednorodzinnych, bardziej kolorowe ulice, chodniki. Nawet poszczególni ludzie nie wyróżniają się w Hajnówce wyglądem zewnętrznym, co może być wynikiem braku cudzoziemców. W Bolsa, czy w pobliskim Enkoping różnorodność kulturowa i narodowościowa jest znacznie większa. Następna różnica – to praca. W Hajnówce, z tego co usłyszałam, nie ma jej zupełnie. W Bolsa i Enkoping sytuacja jest akurat odwrotna, odczuwamy brak ludzi do pracy, szczególnie tych, o wysokich kwalifikacjach. Następne, co nas różni, to wpływ religii na życie codzienne. W protestanckiej Szwecji Bóg jest Bogiem, który kocha nas, bardziej kocha niż karze. I oczywiście nabożeństwa odbywają się w języku ojczystym, zrozumiałym dla dzieci, co przecież ma kolosalne znaczenie.

I jeszcze kilka słów o kuchni. Kuchnia szwedzka jest inna. Mniej tłustych posiłków, więcej warzyw i owoców, więcej wina. I tutaj, jak gdyby mimowolnie nasuwa się problem gościnności. Gościnność na Białostocczyźnie jest niesamowita, wszystko ma służyć gościom, podczas gdy w Szwecji, nawet spotkania towarzyskie bywają mocno sformalizowane, do przesady przestrzega się punktualności, mniej wylewne bywają powitania, ludzie są bardziej zamknięci.

Zastanawiając się nad przyszłością Hajnówki, trudno o konkretne recepty. Bez wątpienia warto wykorzystać sąsiedztwo Puszczy Białowieskiej, wykorzystać kulturową różnorodność, nie tak przecież w Polsce powszechną. Wszystko dla turystyki, nie tylko tej, tradycyjnie rozumianej. Hajnówka i Białowieża jako wielkie centrum konferencyjne, nawet na skalę międzynarodową. Bolsa, gdzie od piętnastu lat mieszkam, stara się wykorzystać wszystko co ma. Zalew Malarem, mniejszy niż znana mi z opowieści Siemianówka, posiada kilka jacht-klubów, korzysta z nich miejscowa ludność, ale też mieszkańcy Sztokholmu i innych miast.

Kończąc już, wydaje mi się, że jak wszędzie, tak w Bolsa, i w Hajnówce, ludzie mają problemy te same i zupełnie różne, jednak życie tutaj jest mniej skomplikowane niż na skraju Puszczy Białowieskiej. Czy tak jest w rzeczywistości? Nie wiem. To tylko moje subiektywno - obiektywne spostrzeżenia.


1993 r. – znika stary, wyrasta nowy budynek Liceum.
Fot. Aleksy Charkiewicz

HAJNOWSKA PÓŁKA Z LITERATURĄ

Mirosław Leszczuk

Zamieć

Zima podchodziła marudnie. Pierwsze zastępy siwobrodych przymrozków, znudzone i wygłodzone długim leżakowaniem w najciemniejszych zakamarkach puszczy, wstępowały na dróżki, na tryby, na przecinki. Kierując się na nocne pohukiwania sów, nawołując się dzwonkami wrzosów i hejnałami trąbek dębowych, małe zastępy grupowały się w gromady coraz większe, i coraz bardziej zdesperowane. Jesień, zapędzona pod ściany lasu broniła się resztkami sił. Rzucając na oślep ostatnie dukaty brzóz i dębów trzymała dzikie hordy daleko, gdzieś za orenburską trybą. Jednak pojedynczy harcownicy przedzierali się do bram miasta. Pod osłoną nocy prze-biegali podleśne uliczki, rozklejając na szybach kwieciste afisze.

Z nocnych przymrozków wyłaniały się poranki pełne słoń-ca. Niewidzialna ręka, najpierw z południowych, a potem i z tych, wychodzących na północ okien, zrywała szklane kwiaty, rzucała na zacienione ścieżki.

Ojciec każdego wieczoru wypływał na ganek. Oparty o balustradę, z głową wysoko zadartą wertował wielką, nie każdemu dostępną księgę nieba. Gdy złote litery okrywała nieprzeniknionа bibuła chmur, wracał przygarbiony i osowiały. – Cóż za pogoda – mówił, sadowiąc się pod oknem. Wypijał szklankę mocnej, gruzińskiej herbaty i odchodził w sen.

A jesień i zima paktowały na białowieskich bagnach. Po kilku tygodniach roztrwonionych na wzajemne podchody, na długie rozpoznania i przetargi, księżyc, znudzony monotonnym negocjowaniem, wyłożył się na chudy grzbiet, wysoko, ku centrum wszechświata zadzierając spiczaste rogi.

- Będzie mróz – ojciec wpadł do domu na długiej wstędze kryształowej rześkości. Krzątał się tu i tam, obmacywał okna, sprawdzając, czy wszystko jest na swoim miejscu. Pomyślałem, że w jego pospiesznej krzątaninie nie ma odrobiny przestrachu. Przeciwnie – radość na przyjście chłodu, na możliwość zmierzenia się z wielką siłą natury, na dokazanie, że on i jego dom, tak przecież niedawno zbudowany, są w stanie dać odpór wszelkim kataklizmom. Po dokonaniu szczegółowej inspekcji w korytarzach i pokojach, przeniósł się do kotłowni. Postękiwanie rur, posapywanie ożywającej w kaloryferach wody oznajmiało, że w dole, tuż pod naszymi stopami rozpoczyna się długie misterium ognia, mające za cel bezpieczne przeprawienie naszych ciał na drugi brzeg zimy.

Tymczasem w puszczy rodził się wiatr. Rodził się w pojękiwaniach drzew i wydobywany na świat tysiącami gałęzi, przemienionych na tę chwilę w zwinne dłonie, obmywany żywicą i brzozowym sokiem, popychany podziemną mocą korzeni, rozrastał się do niepojętych rozmiarów. Niewidzialny dla ludzkich oczu miecz, oddzielający zwykle gwar od ciszy, spadł z nieba, przecinając napiętą do granic wytrzymałości pępowinę. Wiatr ruszył w miasto. Jednym uderzeniem otworzył bramy i rozpędzony zmiatał w niebyt ostatnie liście. - Nietrwałą jest uroda jesieni – chciało się rzec, patrząc na to wielkie sprzątanie.

Psy, uwiązane do ciemnych podwórzy, przeraźliwym wyciem próbowały dać odpór nadchodzącej nawałnicy, lecz jeden po drugim smagnięte niewidzialnym batem, zaszywały się głębiej, w sobie tylko wiadome zakamarki.

Borys Russko

NAD NAREWKĄ

Rzeka jak wąż
wije się w szuwarach,
a ptak w locie
liczy zakola.
Brzegi
w srebrzystym śnie,
tylko księżyc
wiosłuje zawzięcie
po wodzie.

ŹRÓDŁO

Kamienie legły
na krzyż
i woda trysnęła
na cztery strony.
Korzenie splecione
jak kochanków ręce
spływają łzą poranka.
Źrenice i stopy
czują moc źródła.

РАКАВІНА

У ракавіне зерне
гарызонту. Не.
Увесь гарызонт.
Кропля вады. Не.
Біблейскі патоп.
Шэпт струны. Не.
Гром неба.
Часцінка жыцця. Не.
Жывая галактыка.
У ракавіне святло слова.

Borys Russko,
ur. w 1929r. w Białowieży.
Pisze po polsku, trochę po białorusku.
Autor kilku tomików wierszy.
Członek Związku Literatów Polskich.

Edward Lipiński

***

nie ogarniam Cię
Panie
pozostajesz
zagadką
jako twórca

ja
dzieło niedoskonałe
błądzę
szukam formy
którą gdzieś pozostawiłeś
zaaferowany
wielością tworzenia

spoglądasz dobrotliwie
-szukajcie a znajdziecie-
powiedziałeś
zaszczepiłeś wiarę

***

owiani pieśniami
anielskich chórów
oczyszczamy duszę z toksyn
codzienności
składamy brzemię dni
unurzanych w bezprawiu
i chaosie
przed ołtarzem świątyni

pieśni ofiarne
ogrzane spojrzeniami świętych
płyną przez serca wiernych
do stóp Chrystusa
ukrzyżowanego

świetlista aureola oczyszczenia
otula nas czułością

skruszeni i oczyszczeni
zanurzamy się w zmierzchu
wieczoru
by wejść nazajutrz
w panoszącą się codzienność
i umyć ręce

Edward Lipiński, ur. w 1937r. w Łomży.
Absolwent Uniwersytetu Gdańskiego,
nauczyciel.
Pisze wiersze, aforyzmy, haiku.
Autor kilku zbiorków.
Mieszka w Hajnówce.

Niebo dźwignęło się o kilka pięter wyżej, opróżniając z gwiazd niewidzialne nam gościńce i trakty. Tymi traktami miały wkrótce nadjechać tabory pełne śniegu.

Lecz tego wieczoru pod niebem galopowała jedynie zwinna konnica, przemykali zwiadowcy, stawiający lodowe mosty nad przełęczami tworzących się za horyzontem chmur.

Poranek jeszcze otworzył się z trzaskiem, wysypując na ulicę ludzkie mrowie. Wszyscy gnali gdzieś w mechanicznym pośpiechu, jak figurki wyjęte z niemego kina i nawet dziatwa, która zwykle nie ominie żadnej okazji by z bliska przyjrzeć się światu, teraz, nie tracąc czasu zmierzała na poranne lekcje. Zdawało się - jedynie śnieg, okrywając wszystko miękką powłoką, zdoła powstrzymać ów nienaturalny pęd ziemi i ludzi. Chmury, w kolorze ołowiu napłynęły jeszcze przed zachodem słońca. Przestrzeń między niebem a ziemią skurczyła się, zachowując odległość na tyle bezpieczną, byśmy nie mogli, powodowani zwyczajną ludzką ciekawością, przechadzać się na drugą stronę świata.

O zmroku tabory śniegu wjechały w ulicę Wrzosową. Koń za koniem, ogon za ogonem, grzywa za grzywą – szły i szły, popędzane wiatrem, aż na najdłuższej ulicy zapanował tłok nie do przebycia. Zaczęły więc wjeżdżać w Sosnową, w Cisową, w Świerkową. Wkrótce jednak i tam zrobiło się zbyt ciasno. Nie zważając na płoty i zamknięte bramy, tabor wciskał się na podwórza, biorąc pod siebie maleńkie ogródki, składziki i chlewiki przeszczepiane ukradkiem z innej czasoprzestrzeni.

Ojciec tym czasem królował w kotłowni. Kreśląc przebiegłe plany dalekosiężnej strategii rozmawiał z piecem, uczynionym na okres zimy wielkim hetmanem, poklepywał hetmańskie brzuszysko, uzbrojone w żeliwo, węglem czarniejszym za noc wypisywał rozkazy wciąż nowe i nowe, a bezimienni żołnierze, dla niepoznaki jedynie zaczarowani w dębinę i brzezinę, całymi zastępami rzucali się w objęcia płomieni.

Gdy rankiem wyjrzeliśmy przez okno, całe podwórze pochrapywało w śnieżnych rumakach. Odpoczywały w ogródku, w miniaturowym sadziku, nawet na ścieżce, której nie zdążyliśmy porządnie wydeptać. A po południu zjawili się następni jeźdźcy. Nie mieliśmy dość miejsca by rozlokować wszystkich w dostatecznie znośnych warunkach.

Ściągając cugle, klnąc i złorzecząc, wpadali na siebie. Konie, którym w wielkim ścisku plątały się grzywy i ogony rżały, parskały kłębami białej mgły i wspinając się z grzbietu na grzbiet, podchodziły do okien, sięgały dachu. Przed wieczorem uzbierało się tyle bieli, że nie zostało już miejsca na noc.

Chodziliśmy od okna do okna łudząc się, że być może przez niedopatrzenie czyjeś, lub zaniedbanie, uchowało się jedno jedyne przejście, i, że przejściem tym prześliźniemy się do innych ludzi. Wołaliśmy. Lecz miasto, rozparcelowane na tysiąc mikroskopijnych autonomii nie słyszało nas.

Mirosław Leszczuk, ur. w 1960 r. w Hajnówce.
Nauczyciel, obecnie mieszka i pracuje w Koszalinie.

Ireneusz Łukaszuk

Klamerki, manierki, buteleczki

Moje kolekcjonerstwo sięga zapewne początkami gdzieś w okres szkoły podstawowej, kiedy to urozmaiceniem szarej rzeczywistości stawały się wszelkiego rodzaju pasje. Każdy, no, może nie każdy, lecz większość rówieśników ulegała jakiejś, powszechnej w latach osiemdziesiątych manii zbieractwa. Były to znaczki pocztowe, opakowania po zagranicznych papierosach, piramidy puszek po piwie lub napojach, ustawiane na szafach i regałach, piętrami, aż pod sufit. (Ile było z tym kłopotów!) Czy też opakowania po zapałkach, oczywiście najlepsze – te zagraniczne, kolorowe, produkowane w wielu odmianach, z nazwami firm, jak choćby Marlboro czy Camel. Właśnie one, z przyczyn oczywistych utkwiły mi w pamięci najbardziej. A jeszcze opakowania po czekoladkach, historyjki z gum do żucia – wszystko skrzętnie chowane w zakamarkach szuflad przed porządnickimi zapędami naszych mam. O plakatach gwiazd filmowych, piosenkarzy i zespołów rockowych rozwodzić się nie warto, to akurat nie wytrzymało próby czasu.

Wszystko to, skrzętnie zbierane, stawało się z czasem towarem zamiennym, a nawet swoistym środkiem płatniczym. Stosy rupieci dodawały prestiżu ich właścicielom, a pomieszczeniom, w których zajmowały z reguły honorowe miejsce – splendoru. Były – tak dzisiaj myślę – kolorową alternatywą dla szarej jak pakowy papier rzeczywistości. Śmietniki obok dworców PKP i hoteli, szlaki pobytu i przejazdu tzw. dewizowców – oczyszczaliśmy te miejsca skutecznie, współzawodnicząc wręcz w grupach rówieśników. Nawet w odległej Białowieży.

Tyle mniej więcej o latach osiemdziesiątych. A potem nastąpiły zmiany w polityce i gospodarce. Uwolniony z uwięzi wolnorynkowy walec, wtoczył się do naszych sklepów, pchając przed sobą miliony ton wszelkiego rodzaju opakowań, świecidełek, błyskotek.

Paradoksalne, ale zanim pomyśleliśmy o wchodzeniu do Europy, ona bezceremonialnie zwaliła się nam na głowy właśnie owymi tonami odpadów. Do zera dewaluując nasze skarby upchane po szufladach, półkach i regałach.



Moje zainteresowanie historią i etnografią, w połączeniu z nabytym wcześniej nawykiem zbieractwa, musiało zaowocować poważniejszym podejściem do tematu. Na warsztat poszły te przedmioty, narzędzia i urządzenia, które miały wartość historyczną. To one wymownie świadczą o dawnym, codziennym życiu mieszkańców naszej ziemi, o wydarzeniach, których mogli być świadkami lub brać w nich udział nasi przodkowie.

Każdy przedmiot ma swoją historię, a przy tym skuteczniej stymuluje szare komórki niż papier poplamiony farbą drukarską. Broń Panie Boże, nie bierzta mnie ludziska za wroga książek lub drukowanego słowa, po prostu od słów wolę fakty. A przy tym każdy kolekcjoner pragnie posiąść pełną wiedzę na temat kolejnego znaleziska i z trzęsącymi się uszami wchłania wszelką lekturę dotyczącą tematu. I cierpi wciąż na owej wiedzy niedosyt, mnożąc pytania: a dlaczego? a kto? a kiedy? a gdzie????? Niewielu zna to z autopsji, jednak obeznani z tematem doskonale rozumieją, co mam na myśli. Czyż nie tak jest? Wy, fanatycy żądni kolejnego fantu: hełmu, buteleczki, sztućca (najlepiej ze znaczącym monogramem), klamerki,* manierki, menażki, papierośnicy, naftowej lampy, łuski, książki, orzełka, porcelany, bluzy mundurowej, monety, odznaki, podkowy, grota krzemiennego, siekierki, dzwonków -janczarów. Można by mnożyć i mnożyć, do znudzenia.

Pasje i gusta bywają nieodgadnione, ale są też objawem tej samej choroby – manii zbieractwa. Na prawdziwe hobby nie ma antidotum, zaś ono same może się nim stać na wiele innych dolegliwości. Nawet – sposobem na życie. I przyciąga wszystkich, bez względu na wiek i płeć, małych i dużych, chudych i grubych, włochatych i łysych.



A fanty? Z nich można czytać, pobudzają wyobraźnię, ożywiają treść podręczników, dodają barw i kształtów przeszłości.

O znaleziskach, swoich i nie tylko, postaram się opowiedzieć dokładniej w następnych numerach „Panoramy".

***Panorama* Hajnowska** Гайнаўская *Панарама*

Pismo społeczno–kulturalne Ziemi hajnowskiej. Redaguje zespół. Redaktor naczelny Michał Androsiuk.

Adres: 17-200 Hajnówka, ul. Ks. I. Wierobieja 18

Poglądy autorów tekstów nie zawsze odpowiadają poglądom Redakcji.

Nie drukujemy materiałów gloryfikujących totalitarizm, nacjonalizm i rasizm.

Wydawca: Hajnowski Oddział Związku Białoruskiego w Rzeczypospolitej Polskiej przy wsparciu finansowym Centrum Edukacji Obywatelskiej Polska – Białoruś i Unii Europejskiej.

Skład i druk: Hajnowski Dom Kultury